



Spektakl „Neomonachomachia”, Noc Poezji na Rynku Głównym w Krakowie, 3 października 2015 r.

Podejrzany Bronisław M.

BRONISŁAW MAJ:

**Poczucie, że można zostać
znienawidzonym za wiersze,
jest dość straszne.**

MARCIN WILK: Krakowska prokuratura i policja prowadzą dochodzenie w sprawie satyrycznego spektaklu „Neomonachomachia”, pokazanego w ubiegłym roku na Rynku Głównym w ramach Nocy Poezji. Widowisko miało obrazić uczucia religijne i patriotyczne. Przesłuchano już Jerzego Zonia, reżysera, i Pana, scenarzystę.

BRONISŁAW MAJ: Gdy poszedłem na przesłuchanie, przez chwilę miałem *déjà vu*. Może przez wystrój pokoju, który przypominał mi lata 70. i 80.? Ale nie ma porównania. To, co wtedy się działo, było bezprawne. Byłem wyciągany rano z domu, dowożony suką. Teraz działamy w ramach prawa, a ja je szanuję.

Samo poczucie, że można zostać znienawidzonym za wiersze, jest dość straszne. Ponad miesiąc temu śmialiśmy się z Jerzym Zoniem, że nie będzie żadnego postępowania, ale ono właśnie trwa. Myśmy środkami właściwymi satyrze chcieli pokazać niebezpieczeństwo instrumentalnego traktowania symboli historycznych czy religijnych

i nadużywania ich przez wszystkich uczestników życia politycznego.

Krasicki, biskup zresztą, po napisaniu „Monachomachii” piętnującej sybarytyzm mnichów, też lekko nie miał.

Napisał potem „Antymonachomachie”. Nawiasem mówiąc, mnie też namawiają do napisania „Antyneomonachomachii”.

To, co się stało z naszą sztuką, jest groźnym sygnałem. W pewnym sensie jest on straszniejszy niż cenzor na Mysiej w Warszawie czy na Długiej w Krakowie. Wprowadza atmosferę strachu, grozi – najgorszą! – cenzurą wewnętrzną, oportunistą. I to ewidentny zamach na wolność słowa i sztuki. Sprawy w naszym kraju idą w złym kierunku.

**W „Neomonachomachii” pojawia się
telewizor-ołtarz. Może w tym problem?**

Telewizja tresuje widza, który nie sięga po książki. Nie rozumiemy ironii.

Pan w dzieciństwie dużo czytał?

Gdy miałem siedem lat, wstrząsnęła mną bajka Kraszewskiego „Dziad i baba” o nieuchronności spraw ostatecznych...

W dzieciństwie byłem zwyczajnym chłopakiem grającym w piłkę, a potem – grającym na gitarze elektrycznej własnej produkcji. Byłem też chuliganem. Na swoją obronę muszę powiedzieć, że w wieku 16-17 lat wyglądałem na 13-14. Miałem odrażająco złote cherubinkowate kędziory, a koleżanki brały mnie za gówniarza. Chuligaństwem – z kodeksem dobrego, honorowego bandyty, bo taki obowiązywał w Łodzi na Bałutach, gdzie się wychowywałem – sporo nadrabiałem.

Jako olimpijczyk z języka polskiego w maturalnej klasie byłem traktowany jak święta krowa. Oddawałem puste kartkówki, podpi-

sane tylko imieniem i nazwiskiem, oświadczając bezczelnie, że „ten autograf za kilkadziesiąt lat zapewni pani profesor dostatnie życie”. Byłem przecież poetą! Na lekcjach matematyki czy fizyki siedziałem bokiem do nauczyciela (*Maj pochyla się w pozie naśladującej typowego zasępionego poetę romantycznego*), „wsparty na Judahu skale”.

Nauczyciele rozumieli autoironię?

Tak. Nawet pani od matematyki, której się bałem, z pobłażliwością traktowała moje wyczyny i przyniosła mi na maturze rozwiązane wszystkie zadania.

**W 1970 r., jako 17-latek, debiutował
Pan w piśmie „Poezja”. Potem była po-
lonistyka na UJ.**

Na moim roku studiowali Stanisław Pyjas, Bronisław Wildstein, Adam Szostkiewicz, Jerzy Zoń, Adolf Weltschek. Rok wyżej był Bogdan Tosza. Wspaniały czas.

**Już po studiach założył Pan z Zoniem
i Weltschkiem Teatr KTO.**

Uczyliśmy się metodą Stanisławskiego. To był sposób na życie, nisza wolności, teatr-komuna. W 1978 r. pokazaliśmy pierwszy autorski spektakl „Ogród rozkoszy”. Bohaterem był PRL-owski *everyman*, który z idealisty staje się człowiekiem zniszczonym. Używaliśmy m.in. tekstów Hłaski. Cenzor zgodził się puścić przedstawienie pod warunkiem, że nie będzie żadnego oficjalnego plakatu ani recenzji, a na widowni nie siądzie więcej niż 40 osób.

**A jak to było z Pana magisterką o Tade-
uszu Gajcym?**

Gdy pokazałem szkice promotorowi, prof. Wiesławowi Pawłowi Szymańskiemu,

uznał, że to materiał na doktorat. Ale z magisterką nie można było czekać. Wcześniej byliśmy aresztowani, bo chcieliśmy wydawać pismo „Czterdzieści i cztery”. Śledzili nas i to nie były żarty – w tym czasie zginął Staszek Pyjas. Musiałem jak najszybciej przestać być studentem, bo wyrzucony ze studiów, mógłbym zostać wzięty do wojska, a nikomu nie życzę karnej kompanii w Orzyszu. Pracę magisterską napisałem w 10 dni. W niedzielę przywiozłem ją do Krakowa, w nocy zgodziła się ją przeczytać i zrecenzować wspomniała prof. Maria Podraza-Kwiatkowska, rano odbyła się obrona.

W Domu Literatów przy Krupniczej mieszkał Pan w lokalu po Stanisławie Czyczu i Sławomirze Mrożku. Poznał Pan legendarną panią Lolę, Pana kabaretowe alter ego.

Wielkie serce zamknięte w maciupieńkim ciele. Do jej służbówki można było zajść o każdej porze dnia i nocy. Miała na tę okoliczność zawsze przygotowane utensylia alkoholowe. Kiedyś Tadeusz Nowak wylądował u niej o czwartej nad ranem i spytał: „Pani Lolo, jaka droga wiedzie do wielkiej poezji?”. Odparła ze spokojem: „Prosta, panie Tadeuszu, prosta”.

W 1990 r. robiliśmy z Henrykiem Urbanikiem film „Pani Lola”. Chcieliśmy opowiedzieć o Krupniczej z jej perspektywy. W trakcie montażu okazało się, że w bardzo ważnej scenie nie nagrał się dźwięk. Podłożyłem do filmu głos pani Loli, i tak to się zaczęło.

Na Krupniczej mieszkał Pan do 1986 r.

Ubecja potrafiła najść rano i zrobić kocioł w mieszkaniu. Było i śmieszno, i straszno. Kiedyś, gdy byli u mnie, wchodzi Marysia Ziemianinowa, i teatralnym gestem wręcza mi rondel. Nie zauważa niby ubeków i mówi: „Oto oddaję ci pożyczone wcześniej naczynie”. Rondla nie pożyczalem, ale domyśliłem się, o co chodzi. Wziąłem go, a na dnie była kartka: „Kogo zawiadomić?”.

Bał się Pan?

Oczywiście, zwłaszcza że zdarzały się takie rzeczy jak z Pyjasem. Ale – bez martyrologii! Jak mówi Herbert: „mieliśmy odrobinę potrzebnej odwagi”. Poza tym sytuacja była czarno-biała. Jak się chciało żyć w zgodzie z pewnymi wartościami, wybór był oczywisty. Z drugiej strony, nie widziało się niuansów – że taka zaangażowana literatura naraża się na publicystykę, a to jest dla poety bardzo niebezpieczne.

Jeszcze w latach 90. wydawaliście założony w 1983 r. „NaGłos”.

Kornel Filipowicz przypominał kiedyś, że w czasie okupacji niemieckiej odbywały się wydania pism literackich na żywo. To

był zaczyn. Andrzej Potocki, prezes KIK-u, użyczył lokalu przy Siennej. Tłumy wylewały się ze schodów, niektórzy siedzieli na biurku obok czytających autorów, czyli największych: Szymborskiej, Filipowicza, Szczepańskiego, Błońskiego, Kwiatkowskiego. Numer kończył felieton Pilcha. Czytanie „NaGłosu” trwało czasem aż trzy godziny albo i dłużej. Pamiętam, gdy kiedyś Jan Józef Szczepański czytał swoje opowiadanie 40 minut. Nie krył potem zaskoczenia: „Nie wiedziałem, że to takie długie”.

Jerzy Illg w książce „Mój Znak” przytacza opinię Czesława Miłosza na temat Pańskiej poezji: „Przeczytałem jego książkę i chcę powiedzieć, że Maj jest najwybitniejszym żyjącym polskim poetą religijnym”.

Dla Miłosza „religijny” oznaczało „metafizyczny”. W każdym razie oskarżanie mnie o obrażanie religii jest, także i w tym kontekście, bolesne.

Co Szymborska powiedziałaaby o tej sytuacji z „Neomonachomachią”?

Wisława była surowym mędrcelem pozbawionym złudzeń, ale jednocześnie miała cudowne poczucie absurdu i groteski. Kiedyś, gdy Stanisław Barańczak dostawał doktorat *honoris causa* na Uniwersytecie Śląskim, po drodze do Katowic kupiliśmy mu, z poduszczenia Wisławy, potwornego krasnala ogrodowego – ekshibicjonistę, fantastycznie zresztą wyposażonego. Wisława była zachwycona całą sytuacją, ale sala wypełniona zapiętymi na ostatni guzik oficjelami zamarała na chwilę, gdy Barańczak zaprezentował upominek. Uratowała nas wtedy Małgorzata Musierowicz. Wybuchnęła śmiechem. Z dzisiejszej perspektywy myślę, jak wiele mieliśmy szczęścia. Przecież też można by nas oskarżyć o obrazę moralności.

To Wisława przyprawiła mi gębę „najzabawniejszego obok Woody’ego Allena mieszkańca globu”. Trudno z tym żyć, bo wszyscy spodziewają się po mnie fajerwerków dowcipu. A przecież jestem – nie tylko w wierszach – krwawo smutny. Groteska bierze się z prób oswojenia trwogi i smutku. Choć niewątpliwie jest coś dobrego w tym, że daje się ludziom chwilę zapomnienia i śmiechu – dlatego nie wstydzę się swoich ekscesów „kabaretowych”. To znak, że jesteśmy razem. Śmiech może jednak czasem i dzielić. Co właśnie widzimy...

©

Rozmawiał MARCIN WILK

M. ŁEPECKI / AG



BRONISŁAW MAJ
jest poetą, krytykiem
i satyrykiem. Współzałożyciel
krakowskiego Teatru
KTO, w PRL działacz opozycji demokratycznej.
Laureat m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich.